

PO PRACY

Bezpłatny dodatek tygodniowy do „Gazety Robotniczej”

Katowice, niedziela, dnia 19. listopada 1922

Głupi Wojtek.

(Z czeskiego.)

Głupi Wojtek był jakby stworzony na uciechę i pośmiewisko uliczników. Liczył lat ośmnaście, a wyglądał jak trzynastoletnie dziecko. Gdy wracał cichaczem od przekupki lub ze sklepiku, dokąd go matka zwykle posyłała (dalej nigdy się nie zapuszczał), obstępowali go chłopcy uliczni i wrzeszczeli: Wojtek, głupi Wojtek!...

On, nie zważając na ich wrzaski, włókł się z wytężeniem dalej, powoli, od czasu do czasu głęboko oddech chwytając; czasem zachwiał się biedak na cienkich nogach, które z trudem dźwigały ciężar jego wątłego ciała. Gdy go już okrężyli, zamykając drogę i poszturchując, przystawał po troszę, wlepił w nich twarz nieruchomą, jakby z wosku ulaną i bojaźliwym wzrokiem pytał wokoło, czego chcą od niego. Stał przez moment niemy i nieruchomy, potem zrywał się nagle, jak gdyby ujrzał śmierć przed sobą i zmykał na prawo lub lewo.

— Wojtuś. Wojtuś! wrzeszczeli ulicznicy, radując się, że biedny Wojtek trzęsie się ze strachu. On nie bronił się nigdy; gdy dostał się do domu, kładł przed matką co przyniósł i siadał cicho pod piecem.

— Chodź do mnie, Wojtuniu, weź sfołeczek i siadaj tu — odzywała się do niego starsza o rok siostra, smukła, jasnowłosa, dziewczyna, odkładając na bok swoją robótkę.

Wojtek wysuwał się wtedy powolnie z pod pieca i stawiał stół u nóg siostry, tuląc się do niej jak małe dziecko. Czuła siostra przyciskała tę biedną, w ciągłej nocy pogrążoną głowę do serca. Biedak szlochał, aż serce bolało. Głaskała, całowała go i tłumila łzy.

— Ja nie jestem głupi, prawda? — szeptał nareszcie bojaźliwym, słabym i drżącym głosem.

— Prawda, Wojtuniu, ja wiem, że ty masz rozum... Co ci to szkodzi, niech tam sobie gadają...

— A ty mnie kochasz, bo ja głupi nie jestem — i błogi uśmiech osiadał na twarzy biednego idjoty.

— Weź skrzypce i zagraj co, Wojtuniu...

— A dajże pokój z jego rzempoleniem! Niech tam sobie wieczorem gra na dachu jak zechce, ale nie teraz — odzywała się opryskliwie matka.

Wojtek nie odpowiadał, patrzył tylko smutnie na siostrę, śledząc każdy jej ruch.

Matka i brat nie wiele okazywali mu miłości, miał tylko siostrę; przywiązał się też do niej całą siłą swojej chorej duszy.

W sąsiedztwie gadano o Wojtku, że „ma w sobie dar“... Tak jak on gra na skrzypcach, nikt nie potrafił grać, a nigdy się przecież nie uczył; tylko, że

nie umie grać „wesołych kawalków“; gra tylko same smutne i takie dziwne jak on sam.

Wojtek mieszkał w tym samym domu, w którym spędził pierwszą młodość swoją. Zналиśmy się dobrze; przy każdym spotkaniu kiwał głową, witając z uśmiechem.

Pomimo, że byłem wówczas wielkim niegodziwcem, nigdy nie wyrządziłem mu żadnej przykrości; w jego woskowej twarzy było dla mnie coś dziwnego... Dziecięca fantazja moja widziała w nim jakieś niezaprzeczone podobieństwo do pożyłkłych i martwych twarzy, które kiedyś pod szkłem w kościele na ołtarzu widziałem.

Było to wieczorem w niedzielę. Ciepły wieczór sierpniowy rozpostarł czarowną szatę swoją.

Na ciemnym lazurze nieba migotały srebrne gwiazdki, jak myśli błogosławionych, wielki, jasny księżyc płynął wśród nich, oblewając swym światłem góry i wody, ozłacając zapadłe chaty i dumnie sterujące szczyty kościołów. Ruch, jaki zwykle panuje w niedzielę wieczorem w wielkich kamienicach, „ucichł“ powoli. Kobiety, które po skończonej robocie rozmawiały na podwórzu lub stały na schodach i gankach, udały się już na spoczynek; jeszcze tylko na ganku trzeciego piętra siedziała para młodych ludzi, dziewczyna i mężczyzna, zajęci ważną jakąś rozmową. Była to para naręczonych, a ślub ich miał się odbyć za dwa dni.

Naręczoną była smukła Micia, siostra Wojtka, naręczonym młody jeszcze, ale jak ogólnie mówiono, zdolny i pracowity kierownik robót w jednej z fabryk na Smichowie. Teraz trafiała mu się właśnie korzystna posada na wsi i dlatego starał się ślub przyspieszyć.

Siedzieli już dosyć długo; z dołu dolatywał ich jeszcze jakiś szmer, mówili więc szeptem, zamknięci w sobie, jakby z obawy przed otoczeniem. Nareszcie ściszą; może chcieli, by ta wspaniała noc cicha, była niemyim świadkiem ich rozkoszy, przyrzeczeń i planów na przyszłość... Muszą to być pełne błogiego zachwyty te chwile, które czują kochankowie w przededniu wiecznego połączenia.

Jeden tylko człowiek w ich pobliżu wypowiadał uczucia swoje głośniejsze niż oni sami; lecz nie przeszkadzał im. Uczucia te jednak nie były jasne, różowe jak ich własne... Były to elijjne westchnienia, tony, co za serce chwytały, łącząc się w pieśń smutną, pełną ponurej fantazji.

Pieśń tę śpiewał głupi Wojtek. Ten niemy Wojtek umiał potężnie przemawiać tonami; nie wydobywał ich jednak ze swojej słabej piersi, inną mową wyrażał swoje zamroczone uczucia, a rozumiał je każdy łatwo, gdy białemi palcami swojemi silniej lub słabiej drgające struny przyciskał, a smyczkiem przeciągle i potężne lub ciche, zamierające tony, cudnie wydobywał.

Głupiemu Wojtkowi „Duch święty udzielał swych darów“...

Rozmowie narzeczonych towarzyszyła bez przerwy smutna pieśń Wojtka; byli jednak sobą zajęci, więc im nie przyszkadzała. Wreszcie się już przyzwyczaili do jego ponurej gry, przyzwyczaić się można do wszystkiego, nawet do jęku konających.

Wojtka samego nie widzieli, grał nad ich głowami.

Dom, w którym mieszkałem, był to starożytny, brzydko zbudowany gmach, z ogromnym dachem, zwrócony dwoma płaszczyznami do podwórza a dwoma do ulicy. W pogodne wieczory wylaził Wojtek zwykle na dach i siadał w zalomie.

I dziś skulony siedział tam także.

Gdy nadszedł narzeczony jego siostry, był już na górze i grał, grał niezmordowanie jakąś pieśń długą, na której elegijnem tle wyrażał coraz inne uczucia.

Fantazje jego były bezwątpieniami cennymi kompozycjami artystycznymi...

Nagle urwał. Nie dokończył zaczętego pociągnięcia, jak gdyby go wszystkie naraz zawiodły struny. Ręce ze skrzypcami opuścił bezwładnie, chuda twarz jego zapatrzona w księżyc, pozostała nieruchoma, jakby skamieniała...

Po długiej chwili podniósł się zwolna i ostrożnie odłożył skrzypce i smyczek... Cicho, jakby się własnych obawiał kroków, zbliżył się do kraju dachu. Tu położył się i wysunął głowę po za rynnę.

Patrzył na dół, na siedzącą parę. Lekka chmurka przysłoniła księżyc... Na dole przyciszonym głosem prowadzono rozmowę. W tej chwili mówiono właśnie o nim...

— Mnie się zdaje, że Wojtuś jest dzisiaj czegoś bardzo smutny, więcej niż zwykle...

— Z nim gorzej...

Wojtek kiwnął głową.

— On biedak zawsze jest smutny, od kilku dni zwłaszcza — dodała Micia — ciągle się mnie wypytuje, czy ja naprawdę zamyślam się z nim rozłączyć... Prawda, że my go zabierzemy do siebie?

— Hm, tak zaraz z początku to trudno jeszcze będzie, ale później będziesz go mogła wziąć do siebie.

Micia uściskała narzeczonego.

Wojtek usunął się, wstał i ostrożnie jak przedtem wrócił na swoje zwykłe miejsce; tu usiadł, podparł głowę rękami i patrzył znowu w jasny krąg księżyca. Po twarzy splywały mu rześiste łzy, lecz z piersi nie wydobyło się żadne westchnienie... Zwolna tylko otworzył usta i urywając wyszeptał:

— Ja wiem, wiem... ona mnie nie kocha, tak jak jego.

I siedział tak długo, bardzo długo, a łzy jak perły splywały mu po bladych licach... Żal dławiał biedaka. Zdarł chustkę ze szyi i ocierał nią łzy...

Nagle zerwał się i znikł w dymniku; skrzypce i smyczek zostawił na dachu.

Niejedną już noc spędził Wojtek na strychu, nie więc dziwnego, że szukano go dopiero dnia następnego, gdy już Micia ślubną suknię ubierała...

Znaleziono go wreszcie na strychu bez życia.

Wesele Mici odłożono na później.

JULJAN ZACHARIEWICZ

Dzisiejszy Berlin.

Jak wielki Berlin się bawi i tańczy.

Jeżeli charakter każdego narodu, jego właściwości i rodzaj temperamentu, objawia się we wszystkich jego zwyczajach, we wszystkich formach życia, w religii, sztuce, nauce, filozofii, technice, słowem w całej jego kulturze, to jednym z najwybitniejszych rysów każdego narodu jest zabawa, wśród niej zaś taniec. Od niego zaczęła się sztuka i jej pierwszy załążek wśród tak zwanych ludów prymitywnych, jak Pygmee nad afrykańskim Kongo, Negritos na azjatyckich wyspach Filipinach, albo też szczepy Semang i Senoi na półwyspie Malakka i Wedda na Ceylonie, które odkryli słynni podróżnicy: Schweinfurth, Emin Pascha, Stuhlmann, Paweł i Fritz Sarasin, których psychologii zaś przedstawił Wilhelm Wundt w monumentalnym 10-tomowym dziele Voelkerpsychologie, i w jego doskonałym jednatomowym skrócie, Elemente der Voelkerpsychologie. Już wśród tych prymitywnych ludów od tysięcy lat niedotkniętych żadnymi wpływami kultury innych narodów, taniec był pierwszym załążkiem sztuki, zjawił się zaś w towarzystwie muzyki i jej pierwszego instrumentu: łuku, służącego do polowania, którego koniec trzymany był w zębach, napięta zaś cięciwa potrącana palcami, wydawała dźwięki. Taniec jako potrzeba i pragnienie ruchu, jest najuniwersalniejszym zjawiskiem zabawy wśród wszystkich narodów; on pobudza krew w żyłach do szybkiego krążenia, w nerwach, w mięśniach, w całym organizmie budzi elastykę, porywa w wir fantazję; rytm muzyki wywołuje rytm ruchów mężczyzny, grację i wdzięk ruchów młodej dziewczyny, rozkosz tańca, w którym ludzie przeciwnej sobie płci ujęci w spleciach ramion, przechodzą nieraz w flirt, w którym spojrzenia, uśmiechy, igraszki, zmieniają się w iluzję miłości; taniec jako potrzeba ruchu, zabawy i rozkoszy, złączony z rytmem i dźwiękiem muzyki, jest równie powszechnym zjawiskiem na świecie, jak miłość, jak muzyka, jak sztuka wogóle, on stanowi jej pierwszy początek.

Dzisiejsze Niemcy i dzisiejszy Berlin zaczął nowe życie w nowej epoce po wielkiej wojnie. Od tańca. Kiedy ucichły ostatnie strzały na wszystkich frontach i nastąpiło zawieszenie broni, ludzi ogarnął szal zabawy. W domach prywatnych i w wielkich salach, w kawiarniach, barach, kasynach, zaczęto się bawić i tańczyć na olbrzymią skalę, ażeby sobie wynagrodzić wszystko, czego nie można było doznać w ciągu długoletniej wojny. Niemcy lubią się bawić i tańczyć, ale każdy bal i każda zabawa u nich wygląda inaczej tylko ze względu na rodzaj towarzystwa, publiczności, tańca i muzyki: wspólną właściwość wszystkich niemieckich balów, zabaw i tańców stanowi to, że ich tempo jest bezustanku przerywane. Typowem i najbardziej jaskrawem tego rodzaju zjawiskiem jest tańcząca zabawa w miastach zrosniętych z wielkim Berlinem jak Grunewald, Wannsee, Schlachtensee, Nikolas-See, Zehlendorf. Te miejscowości obfitujące w niezwykle piękności natury wielkich zielonych jezior i różnobarwnych lasów, stanowią ulubiony cel spacerów i wycieczek mieszkańców wielkiego Berlina w ciągu całego roku. Wieczorem, nieraz zaś po południu, w zwykłe dni i z reguły w niedzielę, zaczynają ludzie w salach mniejszych, większych, nawet olbrzymich restauracji i kawiarni, tańczyć. Wszyscy zrywają się z miejsc na pierwszy odgłos muzyki i spieszą z ochotą do tańca; ale ledwo sala zaczęła się kołysać, już po kilku lub kilkunastu obrotach, muzyka nagle ustaje, pary stoją na miejscu w szeregach i czekają; grajek wstał od fortepianu i

szybkim krokiem zbliża się do każdego *dansera*, ażeby wziąć od niego pieniądze za muzykę, kiedy od wszystkich *danserów* pozbierał, siada znowu przy fortepianie i gra dalej. To się powtarza bezustanku przez cały ciąg zabawy aż do wielkiej pauzy; zmiany jeżeli są, to tylko takie, że grajek co kilka taktów, o moment muzykę przerywa, ażeby znowu naładować kieszenie. Tak było przed wojną, tak jest i dzisiaj; jeżeli w jakimś lokalu panuje inny zwyczaj i inna metoda, jeżeli goście z góry, przy wstępie, płacą daną kwotę za muzykę, zabawę i podatek, w takim razie muzyka z kilku ludzi złożona gra bez takich przerw na jakie sobie bezustanku pozwala grajek sam jeden wykonywający muzykę na fortepianie. Ale pauzy częste są znowu z innego powodu; publiczność tańcząca ma zasiąść przy stołach ażeby pić, wino albo piwo, gdyż jest przymus picia, tak zwany *Trinkzwang*.

Niemcy, którzy zresztą przy kasach i garderobach teatralnych łatwo wypadają z cierpliwości i głośno krzyczą, jeżeli jeden drugiego w turze wyprzedzi, w tym wypadku nigdy nie protestują; nigdy niema zderzenia, ażeby ktoś wystąpił z inicjatywą i zaprojektował, ażeby zarząd restauracji czy kawiarni brał od wszystkich jakąś kwotę pieniężną zaraz przy wstępie, zamiast żeby zabawa i taniec były bezustanku przerywane. To jest panujący zwyczaj, a grajek i restaurator chcą przy okazji tańca zarobić; żelazna dyscyplina zaś, która każe wszystkich przepisów i zakazów się trzymać, nie dopuszcza zgoła żadnych wyjątków, nawet wśród zabawy.

Inne narody, jak Włosi, Szwajcarzy, Francuzi, Polacy, jeżeli się bawią, hulają naprawdę; ludzie w tych krajach, jeżeli się chcą porządnie wyhasać w tańcu, porwani siłą żywiołu, tańczą do upadłego; niema mowy o tem, żeby gdziekolwiek we Włoszech, Szwajcarii, we Francji lub w Polsce tempo zabawy mogło być przerywane. Tańcząca zabawa w niedzielę w Winnikach pod Lwowem naprzykład, jest już technicznie tak urządzona, że stanowi dla tańczących prawdziwą rozrywkę. Na galerji wielkiej restauracji siedzi klub 16 mandolinistów i gra melodyjne walce z Prymasa cyganów Kalmana; na dole cała sala wypełniona tańczącymi, którzy bawią się i hałasują w nieprzerwanem tempie; po kilku, czy kilkunastu turach dokoła, zmeilają *danserki* i znowu puszczają się w tany. Taki bal niedzielnej publiczności nawet dla widza ma swój urok; wielka masa ludzi w różnorodnych strojach w olbrzymiej sali porusza się w rytmicznych ruchach w wartkiem tempie przy akompaniamencie niezwykle miłych dźwięków orkiestry mandolinowej; zapomnieli o całym świecie, oddani sobie i zabawie, której zgoła nikt im nie przerywa. Istotą bowiem tańczącej zabawy jest to właśnie, że nie śmie być przerywana; inaczej przestaje być zabawą; naturalnie, że pauzy być muszą, bez usłanki i bez wytchnienia tańczy wszyscy nie mogą, ani też orkiestra grać bez przerwy: tylko, żeby taka zabawa nie była co moment przerywana. Taki charakter ma każdy bal w Polsce, we Lwowie, Warszawie, Krakowie, czy też w letniej stolicy Polski w Zakopanem i w jego wielkich hotelach i pensjonatach jak Morskie Oko, Warszawianka, Stamały; taki sam w polskich prywatnych domach.

W Niemczech kwitnie zabawa prawdziwa i najlepsza w domach prywatnych; tam tylko nikt nie krępuje swobodę tańczących, nikt nie przerywa muzyki. Na wielkich salach balowych w wielkich miastach niemieckich, czy też w słynnych miejscach kąpielowych jak Binz na Rugji, albo w Sopotach, gdzie w lecie w każdym kurhauzie i w każdym hotelu są reuniony, tempo zabawy i tańca jest ciągle przerywane; nie przez zbieranie grosiwa, tego tam

niema; ale są za to ciągle pauzy, które urządza orkiestra z polecenia zarządu restauracji; po odbyciu kilku tur walca, po kadrylu czy kotyljonie, publiczność musi opuścić salę balową i zasiąść przy stolikach, ażeby pić wino. To samo jest w kawiarniach i w barach; boston, foxtrott i Jimmy mogą urokiem nowości bawić tańczących, bardzo ładne melodie walców Jana Straussa. Kalmana, Falla, Gilberta, Lehara i jego najnowszej operetki *Małej Grzesznicy*, czy też Salome Roberta Stolza, mogą rozpalać namiętność tańca... kiedy następuje nagle przerwa wszystkich wrażeń! W Niemczech taniec tylko wtedy przedstawia skończoną całość, kiedy przechodzi w sztukę; balety mimiczne zbiorowe i słynnych tancererek od Olgi Desmond aż do Lucy Kieselhausen, których dalsze i nowe szeregi wydaje szkoła *Dalcroze* w Hellerau pod Dreznem i w Genewie szwajcarskiej, służą za artystyczny popis w teatrach. Wtedy takiego widoku i takich wrażeń nie przerywa zgoła nikt, żadna dyscyplina. Bo wtedy otacza taki widok ten pietyzm, jaki Niemcy mają dla wszystkich form i dla wszystkich dziedzin sztuki.

J Jugosławji.

Jeden z towarzyszy naszych po odbytej niedawno podróży do Jugosławji, poniższe kreśli wrażenia:

Gdyby nie waluty, wizy, celnicy i żandarmi, doróżkarze, tragarze, szoferzy, kelnerzy, gdyby nie te typowe plagi, gorsze niż egipskie, możnaby nawet podróż do Jugosławji polecić.

Nie tu miejsce na hymn na cześć Adriatyku, na słowa podziwu dla piękności Dalmacji i jej mieszkańców, na opisy krajobrazu bośniackiego i przewspaniałej drogi wiaduktem i tunelami z Sarajewa do Dubrownika (Raguzy).

Natomiast słów kilka powiedzieć pragnę stosunkom politycznym w nowym państwie, zupełnie odmiennym od tych, jakie panowały przed wojną. Te zmiany powojenne są w Chorwacji, Słowacji, Dalmacji tematem długich rozważań i wywodów w rozmowie z obcym przybyszem, ale ten wzbudza zaufanie.

Nawet nie bardzo orjentujący się w stosunkach miejscowych obcy przybysz spostrzega odrazu, że kraje te znajdują się jakby pod okupacją, mianowicie pod okupacją serbską. Wojsko, żandarmerja — to wyłącznie serbowie, od których ludność miejscowa stroni. Czujność politycznej żandarmerji wytwarza atmosferę duszną, pełną nieufności. Czuć podziemne życie polityczne, czuć, że się centralne władze w Belgradzie ustawicznie czegoś boją: czy to komunizmu, czy narodowego, separatystycznego ruchu chorwatów, słoweńców i bośniaków. Niezadowolenie z obecnego stanu rzeczy jest w tych krajach powszechne. Na pytanie, jakie są pozytywne żądania niezadowolonej ludności, odpowiadano mi mniej więcej tak: kraje dawnej monarchji habsburskiej, wcielone do państwa S. H. S. a rządzone obecnie przez serbów, niedoroslých do tak skomplikowanego zadania, domagają się szerokiej autonomji w obrębie państwa jugosłowiańskiego. Ale nie na tem koniec. Potrzeba — brzmi dalsze żądanie — aby Jugosławja weszła w ścisły gospodarczy a bodaj polityczny związek z wszystkimi państwami istniejącymi na obszarze chociażby dawnej monarchji austro-węgierskiej. Dopiero w takim obszernym związku mogłaby się rozpocząć prawdziwa odbudowa życia

gospodarczego i kulturalnego, zburzonego przez wojnę i jej następstwa.

Takie są żądania. Lecz ani mieszczaństwo, ani lud wiejski, ani robotnicy w miastach nie wierzą w bliskie ich urzeczywistnienie. Stąd pesymizm. Pesymistyczne uwagi słyszałem wszędzie: w wagonie kolejowym, na śtatku, w restauracjach i kawiarniach, w zaciszu domowym, wszędzie tam, gdzie w pobliżu nie było serbskiego żandarma.

13-letni śpiewak — z głosem na 6 oktaw.

Umiejętność i możność wydawania głosu są właściwością nie tylko człowieka, ale i całego szeregu niższych zwierząt.

To, co nazywamy głosem, jest w gruncie rzeczy rezultatem drgania pewnych ścięgien, wskutek przebiegu fal powietrza przez tzw. krtani, czyli skrzynki kątowej rozszerzenia tchawicy.

Z gardła umarłego człowieka w bardzo prosty sposób można wydobyć głos, o ile się odpowiednio „nastawi“ odpowiednie ścięgna, zwane strunami głosowymi.

Modulacja głosu, wszelkie zmiany, siła itp. są znowu rezultatem odpowiedniego zastosowania organów pomocniczych, mieszczących się poza krtanią, a mianowicie: miękiego podniebienia, języka, zębów i t. p.

U człowieka — modyfikacje głosu dokonują się pod nakazem a zarazem kontrolą mózgu. Struny głosowe są bardzo elastyczne i podlegają w znacznym stopniu różnorodnemu napinaniu, wskutek działania odnośnych mięśni. Długość ich, podobnie, jak długość zwyczajnej struny, a i grubość — wpływają na jakość tonu. Tu też w grę wchodzi możność napinania strun głosowych. Im są napięte bardziej, tym wyższy dają ton.

W dziedzinie śpiewu — rozróżniamy głos męski i kobiecy, nie tylko dlatego, że różnica i w zwykłym, mówionym głosie jest znaczna, lecz i dla odmiennej wysokości tonu. Śpiewacy płci męskiej rozporządzają tenorem lub basem oraz barytonem, a płci żeńskiej — kontraltom lub sopranem oraz mezzosopranem.

Normalny człowiek potrafi odśpiewać dwie oktawy. Śpiewacy zawodowi zwłaszcza obejmują z łatwością 3 oktawy, a nawet przeszło 3. Z tych ostatnich rekrutują się gwiazdy operowe zazwyczaj.

W New Yorku wykryto jednak cudownego zającego śpiewaka, dopiero 13-letniego, nazwiskiem Robert Murray, który jak pisze w „Science and Invention“ Dr. F. Miller, swego czasu lekarz Caruso'a — posiada głos na sześć oktaw. Rozległość głosu Roberta Murray'a sięga o jeden ton wyżej od najniższego basu operowego, a o pół oktawy wyżej od najniższego tonu w klawiaturze zwykłego fortepianu. Dr. M. twierdzi, że podobnie rozległego głosu nie miał żaden z najślawniejszych śpiewaków.

Warunki fizyczne ma młody Murray nadzwyczajne. Jego struny głosowe są już teraz (w 13-tym roku życia) świetnie rozwinięte, niezmiernie spójne i elastyczne. Krtani, zbudowana idealnie, jak i sklepienie podniebienia. Przytem nagłośnię (mięśny płatek, zakrywający krtani) ma dużą i niezwykle grubą, a migdały małe.

Poddawany licznym próbom, niezwykle ten śpiewak — bez żadnego wysiłku, a z wrodzonym artyzmem wykonywał najtrudniejsze „kawalki“ operowe, ku niekłamanemu zdumieniu słuchaczy.

Jak z powyższego wynika, tenomenialny ten cnie paczek ma przyszłość — sławną i jedwabną, jakby w kieszeni, o ile otrzymane od natury dary nie ulegną niekorzystnej zmianie w procesie fizjologicznym jego wzrostu, lub wskutek ataku jakiejś poważnej choroby.



Gustlik Beshurylo

Serwus oberwus redachtorze!

Przypominom wam żebyście pošli dziś zemną do Janowa, kaj nos na fuksy zaprosili, bo to bydzie fein beizel, bo wiedzom, juz wszystkie kobiety i dziochy na nos czekajom, a żodno nie wie kiery to ten Gustlik. No jak sie z nami pogustlikujom to możno poznajom, kiery jest największym Gustlikiem. Ło nym też nie mo iść nojlepiej, bo padała mi Kunol że majom płóno w kabsie, to im idzie tak samo jamie, bo jo mom dziura w płótnie, skiersz tego też przez ta dziura wszystko traca, to sie muszom do vorszus wypłacić, cobyh my mieli łoba za co w Janowie sie urznąć. Ale sie muszom do tej baby co to ta kasa mo pod sobom trocha przymizgnąć, to juz nie bydzie tak patrzała jak pieron w kaluza jeno wam do i juz wam tak nie pudzie gupio. Bo to z temi babami, toby każdo co chciała a nie wie co, a nawet na mie gupigo Gustlika sie jedna pogorszyła, boch sie feino czorno naszafnoł i teroz to posyło jej Maćków na karg żeby jom jeszcze corniejszo zrobić, ale to żodnymu nic nie pomoże, bo z Gustlika też bydzie pieżyński pieron jak mu cierpliwości słonskiej braknie, to pójdzie jak w sejmie Ulicowi, jak sie z Korfantym zjechał. Ale najfajniej to juz nasz Klimek umie, bo padajom to wszyscy, że w sejmie tak feinie godoł bo bronioł nos przed zgermanizowaniem. Ale mnie sie tam nie tak bardzo podobało, to tam wszyscy godajom to wszystkim jeno nie to feinyh dziolchach, a taki sejm to nie jest równouprawnienie i pojechał ech do Zoški, bo łona feiniejszo i siednoł ech sie w strassenbanie na ławka do końcika i siedzioł ech eicho cało sie zawałilo ludźmi. Przedemną stanyła tako rubo baba jak Klimek i łoglondioł ech sie jom jako może być ciężko, aż tu churt i strassenbana stanyła a wszystko sie potoczyło a ta baba buch mi na kłie i zaś prędko stanyła i padała mi „przeproszom pynoczku pięknie, jo nie wiedziała, że tak pynodko stanie“. A jo sie chycioł za kapsa i padioł ech ji: „freliczko dyć to som jeno klucze“ a ci wszyscy sie zaczęli śmiec a jo nie wiem z cego, skiersz tego powiedzom mi z cego sie mogli wszyscy tak śmiec, bo jo doprowdy mioł jeno klucze w kabsie jak ta baba sie na mie siadła, tonie moga za to.

Toż nie zapomniom do tego Janowa, a ta kiero bydzie miała najczerwensze podwiązki to bydzie nasza.

Serwus oberwus i chowiom sie na Janów
Wasz

Gustlik II.